POLARIS

W SERII UKAZAŁY SIĘ:

Polaris. Jest zimno, cieplej nie będzie

Polaris. Jeszcze większa samotność

POLARIS

JESZCZE WIĘKSZA SAMOTNOŚĆ

MAREK KAMIŃSKI

Opracowała redakcyjnie
Karolina Macios

MAKAMI

Copyrights: Marek Kamiński 2025

Redaktor prowadzący: *Kinga Ksel*
Opracowanie redakcyjne: *Karolina Macios*
Korekta: *Kinga Ksel*
Mapa: *Martyna Czop*
Skład i łamanie: *Mateusz Czekała*
Projekt okładki: *Robert Nowak*

Swoje uwagi i przemyślenia na temat książki mogą Państwo przekazać autorowi na adres marekkaminski@kaminski.pl i/lub wydawnictwu Makami na adres adminkaminski@kaminski.pl.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana ani rozpowszechniana w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN: 978-83-976343-4-3

Wydanie I

Wydawnictwo Makami
Al. Zwycięstwa 96/98
Gdynia, Polska
www.makami.life.pl
e-mail: kontakt@wydawnictwomakami.pl

Rozdział pierwszy
Życie boi się ciszy

Kiedy powędruję daleko w inne światy
i wrócę do domu i zapomnę, że tam byłem.
Takeshi Ishimoto

Znowu ten dźwięk. Trzask pękającego lodu.

Serce podeszło mu do gardła. Bał się obejrzeć za siebie. Cienka czarna kreska pełzła w ślad za nim i w każdej chwili mogła zamienić lodową pokrywę w rozpadlinę, otchłań bez dna, ale on nie chciał tego widzieć. Zacisnął powieki, wstrzymał oddech. Jak długo tkwił w tym śnieżnym więzieniu? Zbyt długo. Zbyt długo, by przetrwać. Wiedział, że nie przeżyje tej nocy. Słońce powoli chowało się za horyzontem, bryły wypiętrzonego lodu rzucały coraz dłuższe cienie, wszystko tonęło w martwej ciszy. I gdyby nie ten przeraźliwy dźwięk, od którego przechodziły go ciarki, byłby pewny, że właściwie już nie żyje. Że zginął w jednej z rozpadlin albo zamarzł, a teraz jego dusza błąka się w piekielnym pustkowiu. Ale wciąż go słyszał, coraz wyraźniej, coraz bliżej. Lód pękał.

Przyspieszył, chociaż płuca paliły go od wysiłku. Jeśli tylko uda mu się dotrzeć do pola zastrug, będzie uratowany. Przeczeka w bezpiecznym miejscu, aż... Aż co? Ktoś przybędzie mu z pomocą? Potrząsnął głową, żeby pozbyć się niechcianych myśli, ale te wciąż go atakowały. Przecież nikogo innego tu nie ma. Jest sam, sam do szpiku kości. Stracił wszystkich i wszystko. A noc w lodowej szczelinie bez możliwości schronienia się w namiocie, bez palnika, na którym mógłby rozpuścić śnieg i zagotować wodę, bez śpiwora i choćby batona proteinowego mogła oznaczać tylko jedno. Dlaczego więc uciekał? Dlaczego parł przed siebie z takim uporem, jakby gdzieś tam czekało na niego życie? Bo uciekał przed czymś znacznie gorszym niż śmierć. To coś szło za nim od

dłuższego czasu — nie słyszał kroków, nie czuł na karku oddechu, ale wiedział, że ono tam jest. Zwietrzyło jego trop jak niedźwiedź polarny i nie odpuści, dopóki go nie dopadnie, nie powali, nie rozszarpie, nie nasyci głodu. Wyczuwał jego obecność. Od niej gęstniało wokół powietrze, pod jej ciężarem pękał lód, jej cień żarłocznie pochłaniał resztki słońca.

— Mark...

Przystanął gwałtownie. To jej głos! Czemu ją słyszy? Przecież nie powinno jej tu być! Przecież ona nie...

— Mark — wyszeptała. — Nie uciekaj przede mną... Nie zostawiaj mnie tu.

Tak bardzo chciał teraz się obejrzeć i przekonać się, że to ona, że jakimś cudem ocalała i tylko potrzebuje jego pomocy. Pragnął tego całym sercem, a jednak zmusił się, by posłuchać głosu rozsądku. To nie mogła być Misaki. Misaki nie żyje. Wszyscy zginęli. Nie został już nikt. Nikt poza nim. I tym czymś, co podszywało się za nią. Co drwiło sobie bezlitośnie z jego złamanego serca, karmiło się pustką w jego życiu.

— Mark! — krzyknęło nagle tak głośno, że musiał zakryć sobie uszy dłońmi.

Przeraźliwy wrzask rozsadzał mu czaszkę, zaciskał gardło, ścinał krew w żyłach. Musiał uciekać, biec przed siebie, jak najdalej od tego lodowatego głosu, a jeśli zabraknie mu sił, będzie musiał się czołgać, znaleźć jakieś schronienie i zaszyć się w nim jak śmiertelnie ranne zwierzę, które szuka miejsca, żeby umrzeć w spokoju. Musiał iść, chociaż każdy krok sprawiał mu ból. Przemarznięte ciało nie chciało się słuchać, wolało położyć się na śniegu i po prostu poczekać. Bo po co ma uciekać przed czymś, co i tak jest nieuniknione? Nie lepiej przyspieszyć bieg wydarzeń? Wyjść śmierci naprzeciw?

Nie, nie zamierzał tego robić. Nie podda się bez walki. Zacisnął palce w pięści, po czym powoli je rozprostował, żeby pobudzić krążenie krwi, ale kogo chciał oszukać? Już i tak ich nie czuł. Wciąż jeszcze reagowały na polecenia mózgu — coraz wolniej, coraz trudniej, ale były posłuszne. Poprawił maskę na twarzy, pochylił głowę i ruszył. Tamto też ruszyło.

Poszarpana linia pola zastrug była coraz bliżej, spiętrzona kra lodowa wznosiła się tak wysoko, że już niemal całkiem zasłaniała zachodzące słońce. Zostało mu zaledwie kilka metrów — zdąży, zanim zapadnie ciemność. Znów zacisnął palce, tym razem jednak gruba rękawica nawet nie drgnęła. Nagle spanikował. Nie czuł już w ogóle prawej ręki! Lewa uniosła się o parę centymetrów, gdy chciał przetrzeć śnieg z gogli, i opadła bezwładnie. Zanim

uświadomił sobie, co to oznacza, słońce zniknęło, tak samo jak kłująca w oczy biel rozciągającego się wokół pustkowia. Przez chwilę jeszcze widział zacierające się w zmierzchu zastrugi, a potem wszystko utonęło w mroku.

I to, co szło za nim, dopadło go.

Mark otworzył oczy. Wokół panowała ciemność. Było mu przeraźliwie zimno i ze zdziwieniem pomyślał, że nie tak powinno to wyglądać. Przecież nie powinien już żyć. Przecież... W tym samym momencie pod palcami poczuł prześcieradło i odetchnął z ulgą. Był w swoim domu, w gdyńskim Orłowie, we własnym łóżku. Cokolwiek wydarzyło się przed chwilą, okazało się tylko snem. Majakiem, który wciąż mu się śnił, chociaż od ostatniej wyprawy na biegun północny minęło sporo czasu. Każdy kolejny dzień miłosiernie go od niej oddalał, ale każda noc wrzucała z powrotem w środek tamtego koszmaru.

Zatrząsł się z zimna. Całe ciało spływało mu potem, włosy kleiły się do czoła, a serce biło tak szybko, jakby naprawdę dopiero co uciekał przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Otulił się kołdrą i spojrzał w stronę okna. Przez roletę powoli przeświwywało szare światło świtu. Co tym razem mu się śniło? Był na biegunie, sam, bez żadnego ekwipunku. I coś go goniło. Jakaś przerażająca czarna otchłań, gęsta masa szlamu, od której bił potworny fetor... No tak, już wiedział, skąd wziął się ten sen. Winowajca leżał tuż obok, na stoliku nocnym. Poprzedniego wieczoru Mark skończył czytać tytułowe opowiadanie ze zbioru *W górach szaleństwa* H.P. Lovecrafta i opowieść narratora nałożyła się na jego własne doświadczenia. Uśmiechnął się do siebie. Chyba powinien przerzucić się na mniej mroczne lektury przed snem. Aż wstyd się przyznać, ale wcześniej ani razu nie miał w rękach Lovecrafta. Rob, jego wspólnik i przyjaciel, opowiadał mu o nim, gdy wracali z tamtej upiornej wyprawy na biegun. Pamiętał, że kiedy wsiedli do samolotu i wreszcie oderwali się od ziemi, obaj poczuli wielką ulgę. Zupełnie jakby wcześniej dręczył ich koszmar i właśnie odkryli, że to był tylko sen, nic więcej. „Albo jedno z opowiadań Lovecrafta — powiedział wtedy Rob. — Czuję się jak cholerna postać z książki, której wolałbym nigdy nie czytać". Właśnie dlatego Mark po nią sięgnął — próbował zrozumieć to, co obaj przeżyli podczas ostatniej eskapady, poskładać rozsypane elementy pozbawionej sensu

układanki. Bo to przecież nie mogło się wydarzyć, prawda? Nie, o ile byli przy zdrowych zmysłach.

Na początku, tuż po powrocie do domu, sporo o tym rozmawiali. Próbowali się skontaktować z Inuitą, który jako jedyny wrócił z bieguna razem z nimi, bo cała reszta zginęła albo zaginęła, co w takich warunkach pogodowych i tak oznaczało śmierć, ale Qivioq jakby zapadł się pod ziemię. Pozostało im jedynie pojechać do osady, w której mieszkał ze swoim plemieniem, ale jakoś żadnemu z nich nie zależało na tej rozmowie aż tak bardzo, by znów wyruszyć w stronę Grenlandii. Sama myśl o tym, że mogliby się znaleźć w pobliżu bieguna północnego, wywoływała w nich sprzeczne odczucia. Z jednej strony palącą chęć zrozumienia tego, co się tam wydarzyło, a z drugiej — paniczny strach. Oczywiście mogli też dotrzeć do kogoś z bliskich dwójki klientów, którzy wykupili w ich firmie wyprawę na biegun. Complexity Kills tym właśnie się zajmowało — Mark i Rob byli organizatorami ekstremalnych wypraw i jednocześnie przewodnikami z misją, która sprowadzała się do hasła: jak odkryć siebie podczas podróży w trudno dostępne zakątki świata. Oczywiście zdarzali się i tacy klienci, na twarzy których wywoływało to uśmieszek pogardy, ale kiedy już lądowali z nimi na pustyni, w środku tropikalnej puszczy albo na lodowcu, zmieniali swoje nastawienie. Być może dlatego, że Mark Steiner i Robert Granek podchodzili do sprawy bardzo poważnie — podczas każdej wyprawy sami uczyli się o sobie czegoś nowego. Równie dobrze jednak zmiana, która się dokonywała najczęściej w bogatych biznesmenach, spragnionych prawdziwych wyzwań, uderzenia adrenaliny i poczucia sensu życia, mogła wynikać ze zwyczajnego strachu — strachu przed porażką, niebezpieczeństwem, śmiercią. Niektórzy z nich brali udział w takich wyprawach, żeby „wzbogacić się duchowo", tak jakby nie mogli tego zrobić w domu, inni po prostu w ramach ucieczki przed nudą. Dopóki płacili i stosowali się do zaleceń Marka — zaliczali wycieńczające treningi, zabierali ze sobą wyłącznie rzeczy wskazane na liście i zawsze, ale to zawsze robili to, co mówią im przewodnicy — nie miał nic przeciwko organizowaniu takich wypraw. Uwielbiał podróżować, eksplorować wszystkie zakątki świata, walczyć z własnymi ograniczeniami, zachwycać się naturą — z tego właśnie czerpał spokój niezbędny do życia. Dla Roberta z kolei ich firma była odskocznią od normalnej pracy — jako prawnik specjalizujący się w prawie nowych technologii zajmował się konsultowaniem projektów w różnych firmach. Lubił to, ale jego prawdziwą miłością były wyzwania

związane z odkrywaniem świata. Miał dwie listy: jedną z miejscami, które już zaliczył, drugą z tymi, które wciąż na niego czekały. Im bardziej wydłużała się ta pierwsza, tym bardziej skracała się ta druga, co było dla niego jednocześnie źródłem satysfakcji, jak i niepokoju. Co zrobi, kiedy zobaczy już wszystko? O tym na razie wolał nie myśleć. Zresztą miał coś jeszcze, coś niebywale dla niego istotnego — lód. Od jakiegoś czasu wspierał działalność misyjną Ice Legacy, projektu prowadzonego przez dwóch polarników: Børge Ouslanda i Vincenta Colliarda, którzy podczas ekspedycji zbierali próbki dla instytutów naukowych i monitorowali stan pokrywy lodowej. Dlatego choć nigdy nie rezygnował z wypraw w tropiki, cieszył się na spływ Amazonką czy eksplorowanie wygasłych wulkanów, to jednak serce najmocniej mu biło na myśl o przemarszu przez lodowiec, a jego największym marzeniem był biegun południowy. Niestety jak dotąd żaden z klientów Complexity Kills nie wyraził zainteresowania tym kierunkiem, a ci ostatni — Leandro Grass i Kathrine Kendrick, którzy wykupili wyprawę na biegun północny... cóż, nie przeżyli jej. Normalnie taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia — jeszcze żaden z ich klientów nie ucierpiał podczas eskapad, a przynajmniej nie poważnie, poza tym śmierć nie nadawała się na hasło reklamujące działalność firmy Marka i Roba — ale nic, co wydarzyło się podczas tamtej wyprawy, nie było normalne. Sprawę oficjalnie umorzono, zadbał o to generał Wiksoń z polskiej armii, ściśle współpracujący z wywiadem kanadyjskim i brytyjskim. Steiner i Granek zostali przesłuchani, a następnie zobowiązani do tego, że nikomu nie zdradzą informacji związanych z tą sprawą*. Owszem, mogli wpisać w swoje CV ekspedycję na biegun północny — na czym zależało jedynie Robowi, który był tam po raz pierwszy, ale musieli przemilczeć całą resztę. Zgodzili się na to bez mrugnięcia okiem — nie palili się do opowieści ani o Stowarzyszeniu Thule, ani mapie prowadzącej do jednego z wejść do Agarthy, ani o ekstremistach z międzynarodowej grupy ekoterrorystycznej. A już na pewno żaden z nich nie chciał mówić o tym, co wówczas zobaczył i czego doświadczył na własnej skórze. Im więcej czasu jednak upływało, tym bardziej chcieli zrozumieć. Stąd próby skontaktowania się z Inuitą, jedynym ocalałym z tamtej wyprawy, oraz z rodziną Grassa i Kendrick. Ich rodziny mogły wiedzieć coś więcej, zwłaszcza jeśli sami również należeli do Stowarzyszenia Thule, tyle że nie było nikogo takiego. Wyglądało na to, że Leandro i Kathrine nie mieli żadnych bliskich albo podali fałszywe dane osobowe. Albo wywiad

starannie zatarł wszelkie ślady. To też było możliwe. Najważniejsze, że dał w końcu spokój Markowi i Robowi — obaj mogli wrócić do normalnego życia.

O ile koszmary związane z biegunem północnym można nazwać normalnym życiem, pomyślał Mark i sięgnął po książkę leżącą na stoliku nocnym. Przy okazji strącił z niego telefon. Kiedy go podniósł z podłogi, na ekranie wyświetliły się dwie wiadomości. Pierwsza była od Roba: „Znowu śniła mi się ostatnia wyprawa na biegun. To chyba znak, że musimy zacząć planować wypad na Antarktydę:)", a druga od generała Wiksonia: „Musimy pogadać. Nie przez telefon. Jutro o 5.00, tam gdzie zawsze".

* Wydarzenia związane z wyprawą na biegun północny opisane zostały w książce *Polaris. Jest zimno, cieplej nie będzie* Marka Kamińskiego.

Rozdział drugi
Milczenie lodu

W środku życia śmierć przychodzi, by zdjąć twoją miarę.
Wizyta jest zapomniana i życie toczy się dalej.
Ale garnitur jest szyty po kryjomu.
Tomas Tranströmer

Robert wyszedł z kawą na balkon. O tej porze roku poranki na gdańskiej Zaspie były przyjemnie chłodne — przynajmniej dla niego, bo według jego nastoletniego siostrzeńca, który marzył, że kiedyś pójdzie w ślady wujka i zostanie polarnikiem, raczej „wykurwiście zimne". Za pierwszym razem, gdy młody użył takiego określenia, rozemocjonowany opowieściami Roba o wyprawie na lodowiec, zapomniał o obecności swojej matki i dostał po głowie kuchenną ścierką. Od tamtej pory się pilnował i tylko w towarzystwie wujka pozwalał sobie na większą swobodę językową — z jednej strony nie do końca traktował go jak dorosłego, z drugiej nie musiał przy nim udawać. A udawanie w ich rodzinie było akurat czymś, co zdaniem Roba dziedziczyło się w genach. Matka przy ojcu udawała, że Rob nie jest gejem, ojciec udawał, że nie znęcał się nad nim w dzieciństwie i że nim nie gardzi, siostra generalnie udawała, że wszystko jest w porządku, a on, że nie robi to na nim najmniejszego wrażenia.

Rodzina... Westchnął i podniósł do ust kubek termiczny. To była jego poranna filiżanka kawy. Odpalał ekspres, napełniał kubek, wkładał szalik oraz rękawiczki, po czym w dresie albo w narzuconym na piżamę polarze wychodził na balkon. A nie był to byle jaki balkon. Po pierwsze oferował wspaniały widok na zatokę, a po drugie zapewniał zupełnie inną strefę klimatyczną, niż sugerowałoby to położenie Gdańska. Pierwszej jesieni, którą Rob spędził w tym mieszkaniu, nie spał przez miesiąc. Wraz z nadejściem sztormów okazało się, że na wysokości

dwunastego piętra niewinny nadmorski wiatr zamienia się w żądną krwi bestię, wyrywającą okna z framug i wybijającą wściekły rytm na ścianach. Nie pomagały porządne zatyczki do uszu, tabletki na sen ani nawet zioło, które zawsze działało na niego wyciszająco. W przeciwieństwie do Marka Rob nie stronił od używek, choć sięgał po nie wyłącznie sporadycznie, kiedy chciał się zrelaksować albo z ciekawości, w ramach odkrywania innych perspektyw. Trzymał się zasady: żadnej chemii — wyłącznie to, co oferowała sama natura. Tyle że natura również zesłała mu w pakiecie jesienno-zimowe sztormy, więc nie zostało mu nic innego jak się przyzwyczaić. W końcu człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Do porannej kawy na balkonie również.

Hartował się w ten sposób — dzięki temu rzadko kiedy chorował i łatwiej było mu przestawić się na tryb wypraw polarnych. Poza tym lubił chłód. Lepiej mu się oddychało, miał czystą głowę i znacznie zdrowsze nastawienie do życia — po prostu cieszył się na kolejny dzień, bo ten zbliżał go do kolejnej eskapady. Co prawda od czasu bieguna północnego nie mieli żadnych zamówień, zresztą na własne życzenie, ponieważ wzięli sobie „urlop na poratowanie zdrowia psychicznego", jak zasugerował im to Wiksoń albo ta kobieta z wywiadu brytyjskiego — Rob nie pamiętał jej imienia. Z ręką na sercu przyznawał, że była to dobra decyzja. Sam nie wiedział, jak by zareagował, gdyby tydzień po tamtym zgłosili się do nich nowi klienci. Ale tygodnie mijały i w końcu to Mark zasugerował, żeby wrócili do pracy. Robowi użyło — szczerze mówiąc, bał się, że jego wspólnik zrezygnuje, ale zarazem niepokoiła go myśl o kolejnym zleceniu. A potem minęły kolejne tygodnie i Rob zaczynał się bać, że zleceń już w ogóle nie będzie. Żaden z nich nie został na lodzie — w końcu Rob miał swoją pracę, a Mark został konsultantem jakiejś firmy produkującej ubrania i sprzęt dla polarników. No i mieli kasę z ostatniego zlecenia. Kasę, którą przeznaczyli na wyprawę na Antarktydę, więc nie ruszyli z niej ani jednego euro.

Od kiedy pamiętał, marzył o Antarktydzie. Obsesyjnie czytał relacje zdobywców bieguna południowego, oglądał wszystkie filmy na ten temat, planował eskapadę latami, dopracowywał każdy szczegół — ale tylko w myślach. Aż w końcu podczas jednego ze spotkań z chłopakami z Ice Legacy usłyszał, że przydałyby im się nowe próbki. Børge spojrzał przy tym na niego znacząco i Rob podjął decyzję — tak po prostu. Pozostawało mu jedynie namówić na wyprawę Marka i znaleźć odpowiednie środki, co właściwie już się udało. Tyle że przydarzył się ten nieszczęsny biegun północny...

Nagle przypomniał sobie, jak przed rokiem stał w tym samym miejscu — albo jednak w ciepłej kuchni, gapiąc się na pierwszy śnieg na parapecie, nie pamiętał dokładnie — i rozmawiał przez telefon z Markiem Kamińskim. Samą rozmowę pamiętał za to doskonale. Marek na wieść o biegunie północnym zareagował w bardzo dziwny sposób: właściwie się rozłączył. Wtedy Rob nie wiedział, o co mu chodzi; zrozumiał później. Teraz pewnie sam by się tak zachował, gdyby ktoś chciał go namówić na tę wyprawę.

Upił łyk gorącej kawy, czarnej i gorzkiej — taką lubił najbardziej — i spojrzał na zatokę. Miał stąd kwadrans pieszo na plażę, pięć minut biegiem w ramach rozgrzewki przed treningiem, który w okresie przygotowań do wyprawy zaliczał każdego poranka. Zrywał się trzy godziny przed pracą, wkładał do uszu słuchawki, włączał funky jazz i biegł równym tempem do parku przy plaży, ćwiczył chwilę na siłowni pod chmurką, przyciągając wzrok truchtających obok mężczyzn, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, a potem sprintem pokonywał kilkanaście metrów dzielących go od lasu. Bieganie po nierównym podłożu, wąską ścieżką wijącą się między chaszczami, przeskakiwanie pni zwalonych drzew i omijanie nisko wiszących gałęzi — to lubił najbardziej. Jeśli pozwalał mu na to czas, odbijał na plażę i biegł po piasku w stronę Sopotu. Tam z kolei skupiał na sobie uwagę kobiet, które o tej porze wolały odkryty teren niż las. Co prawda czasy, kiedy w nadmorskim pasie drzew aż roiło się od ekshibicjonistów, raczej minęły, ale lepiej było uważać, a na plaży zawsze ktoś spacerował, nawet podczas zacinającego deszczu, a szczekanie psów niosło się od Jelitkowa aż po Brzeźno. Rob najwyraźniej nie wyglądał na niebezpiecznego faceta, bo kobiety na ogół posyłały mu zaciekawione spojrzenia albo zaczepiały uśmiechem — nic dziwnego, obiektywnie był bardzo przystojnym mężczyzną raczej po trzydziestce niż przed czterdziestką, tyle że zainteresowanym wyłącznie mężczyznami. Nie, nie miał nikogo na stałe, stronił od stabilnych związków i głębszych relacji. Zanim poszedł na terapię, mówił sobie, że taki styl życia po prostu mu odpowiada — mógł dzielić czas między pracę, pasję i przygodnych kochanków, z którymi nie wiązały się żadne zobowiązania. Miało być miło, relaksująco i przyjemnie — i to mu wystarczało. A potem Mark poznał Misaki i nagle Rob odkrył, że sam mógłby doświadczyć czegoś podobnego, tyle że boi się zaangażować emocjonalnie. Pewnie gdyby spotkał właściwą osobę, potencjalnego kandydata na kogoś na stałe, podwinąłby ogon i zaszyłby się w dżungli. Ale nie spotkał, a Mark skończył ze złamanym sercem — i kto wyszedł

na tym lepiej? Tutaj Rob akurat nie był pewien odpowiedzi, na szczęście nikt go do niej nie zmuszał, a poza tym naprawdę lubił swoje życie i miał dziwne wrażenie, że stanowi wyjątek. Znał przecież mnóstwo osób, z wieloma rozmawiał na poważne tematy i dobrze wiedział, że prawie żadna z nich nie jest szczęśliwa, że chciałaby coś więcej, coś głębiej, coś bardziej niż to, co ma. Ale nie on, jemu było dobrze tu, gdzie jest, dobrze ze sobą, dobrze z życiem, jakie prowadził. A kiedy przychodził taki czas, że Rob chciał coś więcej, coś głębiej, coś bardziej, po prostu pakował się i ruszał na wyprawę — tylko tego potrzebował.

Wygląda na to, że jestem farciarzem, pomyślał, wpatrując się w ciężkie chmury sunące w stronę morza. Wysoko na niebie unosiły się mewy, białe punkciki rozjaśnione pierwszymi promieniami słońca, które jeszcze nie dotarło na jego balkon. Farciarzem... — westchnął, bo znienacka jego myśli powędrowały ku wiadomości wysłanej przed chwilą do Steinera: „Znowu śniła mi się ostatnia wyprawa na biegun. To chyba znak, że musimy zacząć planować wypad na Antarktydę:)". Tak, śniła mu się ta wyprawa, znowu. I znowu był to koszmar. Teraz, gdy patrzył na morze, a kawa powoli wypłukiwała z niego resztki snu, w pamięci zostało mu samo wrażenie — poczucie osamotnienia, rozpaczy, strachu ścinającego krew w żyłach i przeraźliwej pustki. Wzdrygnął się. Te koszmary odpuszczały na chwilę, a potem uparcie wracały i nawet jeśli rano nie pamiętał dokładnie, co mu się śniło, wiedział, że chodziło o biegun północny. O to, co się tam stało, a co nie miało prawa się stać. I właśnie dlatego potrzebował Antarktydy — był pewien, że tam skończą się te upiorne sny, a to, co zaczęło go prześladować na jednym biegunie, odpuści na drugim. Nie chciał o tym mówić Markowi — on miał swoje zmory, poza tym musiał się uporać z żałobą po Misaki, nie potrzebował dodatkowego ciężaru.

Z mieszkania obok doszedł go stłumiony dźwięk. Rob zerknął na zegarek — dochodziła szósta, pewnie sąsiad szykował się do pracy. Niedawno skończył pięćdziesiątkę, czym pochwalił się w windzie, dodając, że impreza urodzinowa, którą znajomi zorganizowali mu na Goa, była pierwszorzędna. Ponoć, bo niewiele z niej pamiętał w przeciwieństwie do pozostałych dziesięciu dni spędzonych na białych plażach na zachodnim wybrzeżu Półwyspu Indyjskiego. Wiedział, czym zajmuje się Rob, podczas sąsiedzkich pogawędek na balkonie zazwyczaj pytał go o wrażenia z wypraw albo prosił o polecajki dla bardziej leniwych turystów. „Wiesz, latka lecą, a takiego pięknego ciała nie będę narażał

na nieprzyjemności" — mówił, klepiąc się znacząco po wystającym brzuszku. Pracował w branży IT i to raczej jako szeregowy pracownik, który siedzi przed komputerem po kilkanaście godzin dziennie i zapycha się śmieciowym żarciem, a nie szef wyskakujący podczas lunchu na siłownię i saunę, zakończoną zbilansowanym oraz zdecydowanie niskokalorycznym posiłkiem, ale chyba był zadowolony ze swojego życia, w przeciwieństwie do wielu szefów. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie ze swoim szerokim uśmiechem, którym witał sąsiadów, życzliwością wypisaną na twarzy i radością, z jaką opowiadał o synu, pięcioletnim Kacprze. Chłopak mieszkał z matką i widywał się z ojcem raz na tydzień — niedzielny obiad w Maku, klasyka. Miły dzieciak, trochę nieśmiały, z obsesją na punkcie pociągów, więc prosto z obiadu ojciec zabierał go na dworzec w Oliwie, gdzie mały siedział na ławce i gapił się z fascynacją na przejeżdżające SKM-ki i ekspresy, a na widok smukłego kształtu pendolino aż się zapowietrzał. Gdy Marcin opowiadał o synu, cały jaśniał od wypełniającej go ojcowskiej miłości. W takich chwilach myśli Roberta nieodmiennie biegły do jego własnego ojca, którego nienawidził całym sercem.

Z mieszkania obok dobiegły kolejne dźwięki — tak, Marcin ewidentnie zbierał się do roboty. Dzisiaj wcześniej, pomyślał Rob, zerkając na zegarek. Usłyszał otwierające się okno, a chwilę później skrzypnęły drzwi balkonowe. Wietrzenie mieszkania — czyżby sąsiad szykował się na odwiedziny Ulki? Ostatnio często o niej wspominał. Poznał ją chyba w pracy i najwyraźniej coś między nimi zaiskrzyło, bo wpadła do niego kilka razy. I została na śniadanie, co Rob odkrył, gdy jak zawsze rano wyszedł z kawą i zobaczył ich na sąsiednim balkonie. „Mam nadzieję, że nie byliśmy za głośno" — powiedział wtedy z dumą Marcin, obejmując ją w pasie, a ona roześmiała się, pacnęła go w dłoń i wróciła do mieszkania. Rob pokazał mu uniesiony kciuk, szybko dopił kawę i zaczął zbierać się do pracy, bo odgłosy dochodzące zza ściany sugerowały, że sąsiedzi zamierzali zachowywać się znacznie głośniej niż w nocy.

Marcin nie tylko wietrzył mieszkanie — wyszedł na balkon w bokserkach, skarpetkach i rozciągniętym tiszercie.

— Nie zimno ci? — rzucił Rob, którego aż przeszedł dreszcz na widok jego gołych nóg.

Lodowaty wiatr prześlizgiwał się między blokami i wdzierał się w każdą szparę, a tutaj, na dwunastym piętrze, niewiele sobie robił z zamkniętych drzwi i uszczelnionych okien. Nawet on, przyzwyczajony do chłodu, gdy otworzył

drzwi balkonowe, w pierwszej chwili chciał zrezygnować z porannego rytuału. Nie zrobił tego tylko dlatego, że w ramach wyjątku ubrał grube skarpety, a na polar narzucił kurtkę z kapturem, który pospiesznie naciągnął na głowę. Mimo to skłonny był przyznać rację siostrzeńców — ten poranek kwalifikował się jako „wykurwiście zimny".

Marcin nie zareagował, stał z opuszczonymi rękami przy barierce i wpatrywał się w przestrzeń nieobecnym wzrokiem.

Lunatykuje?, pomyślał zdziwiony Rob. Sąsiad jeszcze nigdy tak się nie zachowywał. Nagle zrobił krok do przodu, wyciągnął przed siebie dłoń i niepewnie położył ją na balustradzie. Wiatr szarpał tiszertem, a on nawet nie zadrżał, jakby w ogóle nie czuł zimna.

— Marcin? — spytał zaniepokojony Robert, podchodząc bliżej ścianki oddzielającej ich balkony.

Architekt tego wieżowca musiał wierzyć w dobre relacje sąsiedzkie, bo wystarczyło lekko się przechylić, żeby mieć wgląd nie tylko na sąsiedni balkon, ale i na duże okna.

Rob obrzucił szybkim spojrzeniem podciągnięte rolety i bałagan w mieszkaniu Marcina: rzeczy rozrzucone na parapecie, ubrania leżące w progu. W głębi ciemnego pokoju jaśniał ekran laptopa.

Może pracował całą noc i dlatego tak się zachowuje, pomyślał, ale coś mówiło mu, że nie o to chodzi. Coś w postawie mężczyzny, w jego poszarzałej skórze, braku jakiejkolwiek reakcji na zimno i tym dziwnym nieobecnym spojrzeniu sugerowało, że z Marcinem dzieje się coś złego.

— Hej, wszystko OK? — spytał łagodnie i tamten dopiero teraz drgnął, po czym zwrócił się w jego stronę. Nie spał, nie lunatykował, ale nie był też przytomny. Rob miał wrażenie, że widzi nie człowieka, tylko robota, kogoś wypranego z wszelkich emocji, pozbawionego duszy. — Marcin? — zapytał cicho, zbyt cicho, by dał się go usłyszeć, a jednak sąsiad z wyraźnym wysiłkiem spojrzał mu w oczy i wtedy Robert naprawdę się przestraszył. Bo patrzył prosto w martwą pustkę. Taką, która śniła mu się tej nocy. Przechylił się bardziej i wyciągnął do niego rękę, ale tamten stał za daleko i Rob jedynie musnął palcami rękaw jego tiszerta. — Co robi...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo sąsiad gwałtownym, desperackim wręcz ruchem chwycił się balustrady, podciągnął się, błyskawicznie przełożył jedną nogę, potem drugą i... skoczył.

Koniec darmowego fragmentu